NUMER 32. DNIA 9-go SIERPNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z minioną falą

Na miejscach, gdzie niedawno szalał rozhukany, z koryt swoich i dróg zwykłych wyrzucony żywioł, dziś cisza pustynna i martwota. Cóż z tego,



Widok domu w czasie powodzi w Woli rogowskiej.
Fotografował Jan Szlązko.

że słońce letnie, sierpniowe ozłaca ludzką nędzę, reszty wilgoci z gruzów wyciąga, cóż z tego, że susza padła na rolę, dobroczynna susza, kiedy jej nie ożywić już tego, co powódź rzecznym namułem zaniosła, nie oddać, co poszło z bystrym prądem fali i więcej nie wróci.

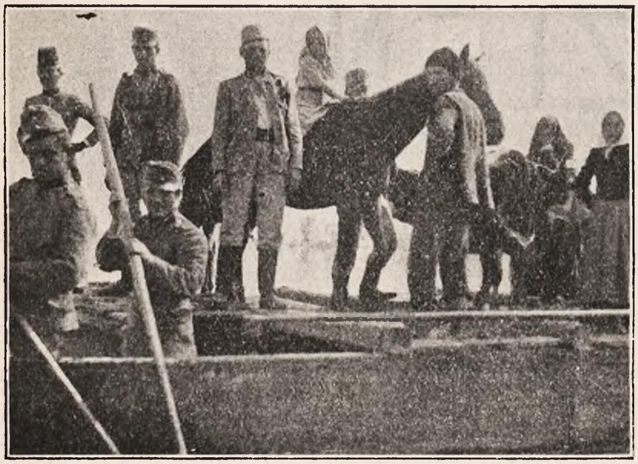
Nie wróci plon roku dziewięćset trzeciego, a sam on rok, głodnym rokiem w pamięci ludu na długo zostanie. I tem dłużej groza powodzi, czarnem się wspomnieniem odezwie, im jaśniejszą, im bardziej nadzieiną była wiosna, im bujniej rosła pszenica roku naszego nad Wisłą.

Ale co najbardziej wszelką nadzieję odbiera i klątwą ciąży nad całą tą żywiołową katastrofą, to fatum gniotące i rozpacz, że tak długo wszelka na Powiślu praca daremną będzie, dopóki się więzów nie rzuci płynącej wodzie, progów się silnych i granic nie postawi żywiołom. Czas zasie-



Pionierzy ratują człowieka w czasie powodzi w Woli rogowskiej.
Fotografował Jan Szlązko.

wów przychodzi ozimych, rzuci się znowu ziarno, ostatnie może ziarno do ziemi, z tem jednak westchnieniem rozpaczy, że z wiosną nowa przyjdzie



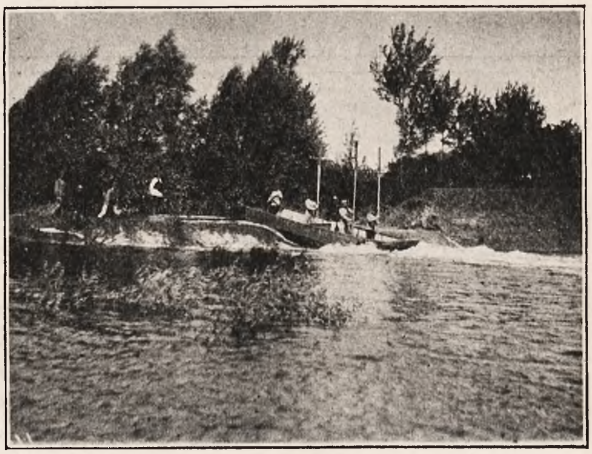
Żołnierze wywożący bydło z Woli rogowskiej.
Fotografował Jan Szlązko.

powódź i znowu wszystko zabierze. Ludzka dobroczynność to tylko litosne współczucie, pomoc rządowa to śmiech tylko i gorżka, dobrze zapłacona ostatnim groszem podatku... jałmużna. Dla biednych niema żadnej nadzieji, żadnej pewności, czy i rok dziewięćset czwarty takim samem rokiem grozy nie będzie i strasznego zniszczenia, jak jego poprzednik.



Widok domu zatopionego w Woli rogowskiej.
Fotografował Jan Szlązko.

Czy społeczeństwo nasze zrozumiało ten jęk, który się objawił w listach chłopskich pisywanych po powodzi do różnych redakcyj, czy zrozumiało tę skargę bolesną: „głodni jesteśmy!“, skargę tem bardziej straszną i rozpaczliwą, że rozlega się ona u progu dwudziestego stulecia, wtenczas kiedy czasy głodu i czarnego moru zdawały się być już raz na zawsze pogrzebione w starych kronikach. Czy zrozumiano u nas powszechnie, że tegoroczna klęska powodzi, należy do najstraszniejszych katastrof, które w przeciągu stu lat ziemię naszą nawiedziły? Jakie charakterystyczne jest powiedzenie pewnego staruszka włościanina, który żyjąc już lat ośmdziesiąt powiada: „Od lat dwudziestu donoszę wam o każdorocznej powodzi, ale nigdy przez ten czas nie pisałem o sobie ani o swoich. — A dziś już muszę napisać bo... głodni jesteśmy!“.



Pionierzy z żandarmerją jadący wyłomem przerwanym na Kisielinie.
Fotografował Jan Szlązko.

Ten sam jęk rozlega się i za kordonami. Wzdłuż całej Wisły jeden płacz tylko rozsiadło się zniszczenie, klęska, widmo głodu nocami się błąka po pustych obszarach, a za dnia słońce ozłaca odrapane chaty, blaski chodzą po łanach zmierzwionych, zmieszanych z błotem, namułem



Widok śpichrza w Uściu jezuickiem w czasie powodzi.
Fotografował Jan Szlązko.

i tem wszystkiem, co woda ze sobą unieść już nie mogła.

Ale to jest teraźniejszość — już kilka tygodni nas dzieli od chwil najstraszniejszych, kiedy koniec świata nadchodzić się zdawał, kiedy ludzie drżąc z życiem tylko uciekali. Dziś już fale minęły i poszły i chociaż wszystko ze sobą zabrały, to przecież myśl że piekło ustało, jest pociechą w nieszczęściu, gorzką pociechą, że oto życie przynajmniej zostało.

Z tych czasów strasznych, tak niedawnych, z ledwie co minionej fali, przynosimy dziś naszym czytelnikom garść wspomnień strasznych, w formie widoków zdjętych w kilku tylko nadwiślańskich okolicach, wtenczas kiedy tam powódź z największą szalała potęgą. Obrazki te ani w setnej nawet części nie zdołają dać wyobrażenia o strasznej sile nierozumnego, nieokiełzanego żywiołu, ale same przez się zbyt są wymowne, aby im trzeba bliższych komentarzy. W tych samych okolicach, jak i na całej reszcie powodziowego obszaru, dziś inna już sytuacja, inne widoki, kto wie, czy nie bardziej nawet tragiczne popowodziową nędzą i bolem zrozpaczonych biedaków, niż wtedy, gdy rozszalały żywioł rozum po prostu odbierał, nie dając możności zdania sobie sprawy z rozmiarów katastrofy.



Koszary Żandarmerji w Uściu Jezuic. w czasie powodzi.
Fotografował Jan Szlązko.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(6)

— Niech da po piętnaście kopiejek! — podpowiedział stojący obok niego równie szary i pomięty oryl.

— Szpanka! Żygany! Podła kobyła!..*) Wybyście J. Chrystusa za grosz sprzedali, bo srebrnik wam za dużo!.. — splunął w ich stronę Indor. — Wierzcie mu, słodko-głosemu słowikowi! — zwrócił się w głąb szopy. — Wywiedzie was jak Mojżesz na puszczę i będziecie musieli tańczyć, jak zagwiżdże. Nie znacie żółtobrzuchych czełdonów?...**) Przed robotą łydki lizać wam gotowi, a po skończonej potrzebie w odmęcie was dla starych onucz utopią... Słyszana rzecz, żeby kto od nich z pieniędzmi odszedł? Nawet ten, co z pieniędzmi przyjdzie, goły odejdzie!..

— Oj, ludzie! Nie słuchajcie go pustomieli — bałałajkina! Toć przecie tam na rzece cała łódź w waszej będzie mocy... Czy mógłbym, nawet gdybym chciał, nie dotrzymać wam słowa... Nie na wiatr daję obietnicę, lecz aby ją spełnić!.. Nie pierwszy i nie ostatni rok tutaj się znajduję, nie z wiatru jestem, a z nad rzeki!.. Zgódźcie się — przekładał Damian.

*) Pogardliwe przezwiska, dawane w więzieniach sybirskich drobnym złodziejom, oszustom, graczom, całej czerni zbrodniczej, za której arystokrację uważani są włóczędzy, mordercy, rozbójnicy, spirytonosi i fałszerze pieniędzy.

**) Przezwisko dawane przez włóczęgów i osiedleńców chłopom sybirskim.

— Zresztą dla pewności i ja mogę z wami do pierwszej wyspy pojechać! — wstawił politycznie strażnik.

Ale obecni pominęli propozycję milczeniem; nawet Damianowi widocznie nie przypadła ona do smaku. Natomiast zwrócił się gorąco o poparcie do Karskiego i Leona. Źle jednak trafił, gdyż Leon bardzo poważnie mu odpowiedział:

— Nie, nie mogę was podtrzymać!.. Oni mają rację. Bo że w Europie robotnicy kredytują pracodawców, to nie widzę w tem nic dobrego i nie wiem, dlaczegoby robotnicy mieli i tutaj zwyczaj ten wprowadzić, skoro istnieje dla nich dogodniejszy...

— A widzicie, chłopcy!. Chodźcie użyć kredytu gdzieindziej!.. — A może i pan z nami pójdzie, dobre paniątko!... — zapraszał Indor.

Wśród robotników wszczął się gwar i ruch; niektórzy sunęli do wyjścia, ale tam stał Damian z rozpostartemi rękami i krzyczał:

— Oddajcie zadatek!.. Panie strażniku, nie puszczaj ich pan!..

— Ho! ho!,. A jakże!.. Dawaj obutki!.. Tyś zerwał umowę, a nie my!.. — krzyczeli robotnicy, napierając coraz tłumniej. W tyle gwizdano, miauczono, gdakano. Ktoś udawał płaczące niemowlę, inny — piejącego koguta...

Scena nabierała burzliwie-śmiesznego charakteru. Ten tłum rozzuchwalonych włóczęgów lada chwila mógł pochwycić na ręce i strażnika i grubego Damiana i zacząć podrzucać nimi, jak piłką. Policjant cofał się przezornie. Karski silił się uprowadzić Leona. W ten rozgardjasz wszedł Bryłkin z butelką w ręku, powiódł przekrwionemi oczami po zebranych i obwieścił, że... funduje wiadro spirytusu.

— Oto pieniądze! Ale musicie zaraz wyruszać... Wypijemy je na wyspie... Starosta niech biegnie do szynku, a wy... do wioseł!.. Kogoście na starostę wybrali?.. Obucha pewnie?

— Nie. Ja jestem! — odrzekł ciemny i posępny mężczyzna, wysuwając się na czoło.

— Aha!.. Majdaniarz!..*) Bardzo dobrze... Masz wprawę!.. — żartował kupiec. Wręczył mu pieniądze i wyszedł z szopy, a robotnicy za nim. Damian biegł obok, gotów nieledwie polizać „dobroczyńcę“ w łokieć.

— Aby tylko ruszyć... aby krok... Oj, grzechy, grzechy!.. — mruczał idąc na ostatku Koźma.

— Faraony... Wyzyskiwacze... Obedrzyjcie ze skóry a dobrze całą tę nikczemną kobyłkę... Pokażcie im, gdzie pieprz rośnie... Nauczcie rozumu obmierzłych żyganów... Nasypcie im węgli w spodnie!.. Idźcie, idźcie, głupie obdartusy, bogaćcie się... własną pracą... Zbierajcie krwawicą „kapitały“!.. Gotujcie nożyczki do obcinania zarobionych kuponów!.. Ale ja nie pójdę... Niema głupich... Chodziłem ja dość!.. Nie sprzedam wolnej mej woli i ochrzczonej duszy za spleśniałego suchara!.. — krzyczał Indor, wymachując rękami za odchodzącymi towarzyszami. — Co innego za kieliszek wódki... Prawda, panowie szlachta?! — Mrugnął filuternie na Karskiego i Leona, przechodzących mimo, czapę futrzaną głęboko na uszy nasadził i zwrócił się w stronę poblizkiego szynku.

— Co ci przyszło do głowy wtrącać się?.. I wcale nie miałeś racji!.. — wyrzucał Karski przyjacielowi.

— Jakto nie miałem racji? — oburzył się ten i przytoczył cały szereg niezmiernie logicznie zbudowanych dowodów.

— Nie znasz tych ludzi i nie liczysz się z niczem... To zupełnie inne środowisko! — przerwał mu niecierpliwie Karski.

— Nie potrzebuję ich znać... Albo mam rację, albo nie mam racji!..

— Doktryner! — syknął Karski.

— Oportunista... Zawsześ był skłonny do ustępstw!..

(C. d. n.)

*) Majdan — prawo wyłącznego handlu chlebem, herbatą, cukrem, wódką, tytoniem, kartami, nabywane w sybirskich więzieniach za pewną opłatą od aresztantów przez jednego z nich, zwanego stąd „majdaniarzem“ (majdanszczyk). Majdaniarz pobiera również pewien procent od wygranej z graczów więziennych.

OMYŁKA DRUKU.

W 31. nr. „Tygodnia“ str. 252, wiersz 22 od góry — powinno być zamiast: pojedyńczo — p o j e d n a w c z o.

Z nieznanych listów Zygmunta Krasińskiego.

II.

Warszawa 4 kwietnia 1833.

Mój drogi Henryku!

Byłem w drodze, przejeździłem całą zimę. Otrzymałem pięć listów od Ciebie, nie mogąc na nie odpowiedzieć, bo nie miałem już sekretarza; a teraz gdy opuszczam dom ojców moich, będę mógł tylko pisać do Ciebie dzięki miłosiernemu przypadkowi, który mi nasunie tego lub owego współczującego śmiertelnika, chcącego napisać pod mój dyktat. Ty zaś pisz do mnie do Wiednia, jak tylko będziesz mógł najczęściej.

Koniec Fausta daje mi dowód, że Goethe prawdziwie wielkim jest poetą, większym niż sam Byron; bo weź tylko Manfreda, Kaina, Marino Faliero i t. d. i t. d. znajdziesz wszędzie, że zguba wieńczy dzieło.

Goethe zrozumiał wszechświat, walkę dobrego ze złem i kazał tryumfować dobru. Jednak co do formy, Goethe jest jeszcze z XVIII wieku. Była taka chwila, że Goethe wziął Diderota za model; bardzo to dziwne, że ten człowiek zwyciężył w końcu świat i pychę Szatana! Także wielka to myśl, że Faust staje się ślepym. Musiało tak być. Wyczerpał wszystko na ziemi; wyczerpał wszystko w piekle. Teorja i praktyka, wszystko skończyło się dla niego, zaprawdę musiał oślepnąć. Co do muzyki: Freyschütz Webera jest tem samem, co Faust Goethego.

Opis, jaki mi dajesz, śmierci żydowskiego poety bardzo jest podobny do fantastycznych bajek Juliusza Janin Balzaca. Jest coś oschłego w głębi. Zrobiłeś artystę tam, gdzie powinieneś był zrobić chrześcijanina. Piękny to opis łoża śmierci, ale tam braknie czegoś. Jest to coś, co nie jest sztuką, ale jest prawdą; bo widzisz, sztuka jest tylko prawdą prawdy, uczuciem uczucia, ale nie uczuciem samem. Są rozkosze niewypowiedziane dla artysty, ale przeznaczeniem artysty jest także cierpieć więcej, niż wszyscy inni na świecie. Na prawdę, egoizm jego jest wzniosły, ale jest to zawsze egoizm. A cóż pocznie, jeśli znajdzie się w położeniu, gdzie aby być szczęśliwym, trzeba nie być samym sobą? Piekło jego wtedy się zaczyna. Nie dowie się nigdy, co jest naprawdę miłość kobiety, bo dla niego wszystkiem jest *on*. On tworzy wszystko: świat, posąg, wiersz, kochankę. Kocha swoje arcydzieła i nie kocha nic więcej. Oto dlaczego rzeczywistość jest dla niego trucizną. Oto dla czego nie może nigdzie znaleść spełnienia swoich życzeń, końca swoich marzeń. Wszystko, co nie jest nim, zniechęca go i zrozpacza. Żyje wśród ludzi, jak Kain, nosząc przekleństwo na czole. A jednak kocha namiętnie, pożąda dobra, chciałby szczęścia świata, chociaż świat odpycha go na każdym kroku. Lecz skoro tylko jest sam, jest szczęśliwy. Jest silny jak półbóg. Oto dlaczego wielki artysta nie jest nigdy dobrym ojcem, ani dobrym mężem. To straszne!... Oto co spowodowało nienawiść Byrona do świata, oto co nas obu zniechęca tam, gdzie wielu ludzi widzi przyjemność i rozsądek. Płaci się drogo za wmieszanie się w tajemnice bogów. Jedna kropla, spadła z góry na twoje czoło, czyni cię niezdolnym do życia na nizinach; a mimo to nie stałeś się aniołem; pozostałeś człowiekiem, ale już nie masz braci. Potem możesz dostać powolnej gorączki, jeśli ciało masz słabe, albo stać się szaleńcem... Piszę Ci to wszystko w stanie najbardziej nerwowym, w gotyckiej sali naszego pałacu, pełnej tarcz herbowych, zbroi, lanc i szpad.

Żegnaj, napiszę do Ciebie jutro lub pojutrze.

Zyg. Krasiński.

Dwie nowe antologje.

Popularna ta forma wydawania poezji — z każdego autora po troszku — uzyskała dwa nowe dziełka, jedno lwowskie pod redakcją utalentowanego poety, Leopolda Staffa (Księgarnia Polska); drugie, które wyszło w Warszawie, staraniem księgarni A. G. Dubowskiego, układał młody wierszopis, Zygmunt Różycki.

Wydawnictwa tego rodzaju mają znaczenie podarków gwiazdkowych i z tego powodu dla księgarzy stanowią rzecz intratną; dla literatury jednak ważność ich jest minimalną, chcąc bowiem na jakichś dwustu stronicach zawrzeć utwory 40—50 autorów, nie podobna uwydatnić fizjonomji każdego z nich należycie. Jest to rodzaj salonu artystycznego, rodzaj wystawy, gdzie przedstawiono próbki talentów rozmaitych, przyczem jednak nie sam autor najczęściej swoje próbki wybiera, lecz reżyser salonu, t. j. redaktor antologji; dobór pisarzy jest również dość dowolny, choć w danym wypadku autorzy mieli określony przedmiot, w tytule dokładnie wyrażony, przyczem oba tytuły są prawie jednobrzmiące. Książka L. Staffa nosi tytuł: Najmłodsza pieśń polska; książka Z. Różyckiego; Najmłodsza Polska w pieśni. Trzeba wyznać, że Z. Różycki ściślej trzymał się tytułu i pomieścił istotnie samą Polskę najmłodszą, tj. tych pisarzy, którzy wystąpili po r. 1890, gdy Staff dał ponadto pisma generacji poprzedniej (Miriam, Kasprowicz, Tetmajer, Lange, Orot, Niemojewski). Autorzy podani w nawiasie nie zdają mi się odpowiednimi do noszenia tytułu najmłodszych, gdyż rola ich była wcale odmienna od roli najmłodszych, ciernistsza, trudniejsza, pełna sprzeczności — i nie mają oni tej cechy, która właśnie najbardziej jest znamienną dla najmłodszej generacji, nie mają tej równowagi twórczej, tego pewnego siebie spokoju w marzeniu i pisaniu, tej słowem, swobody pływania po szerokiem morzu sztuki, jakie nowym łabędziom poezji tak bez trudu niemal przychodzą. Tamci przystąpili do walki w czasach wysoce antypoetycznych — i każde słowo, każdą formę, każdą myśl, uczucie, marzenie, każdy obraz musieli zdobywać surową walką zwątpienia i protestu; musieli karczować lasy, zasiewać nowe ziarna, drogi układać: pierś ich się krwawiła — i ostatecznie zwalczyli atmosferę minionego czasu; marzeniu, światom nadrzeczywistym, oderwanym od codzienności i obecności — wywalczyli prawo bytu. Młoda generacja poetów — Brzozowski, Dębicki, Jedlicz, Komornicka, Lemański, Leśmian, Leszczyński, Mirandola, Orkan, Ostrowska, Perzyński, Pietrzycki, Rufer, Staff, Szczepański, Wyrzykowski, Wyspiański, Zawistowska i i. żyli już w atmosferze nowej, oczyszczonej od miazmów przez generację zwiastunów, przygotowanej do posłuchu marzeń, do rozumienia nieskończoności, do pożądania absolutu.

Nie wszyscy oczywiście nowi pisarze są równi co do talentu, znajdujemy jednak między nimi bardzo wybitnych rymotwórców, jak: Lemański, Leśmian, Ostrowska, Staff, Rufer, Wyrzykowski, Zawistowska, Wolska, Orkan i kilku innych: osobno stoi Wyspiański, który się zresztą najmniej nadaje do antologji.

Nie podobna tu w paru słowach charakteryzować tych nowych poetów, jak nie podobna o nich również powziąć wyobrażenia z zawartych w antologjach urywków. Ciekawie też odróżnia obie antologje to, że Staff zapomniał o kilku warszawiakach, gdy znowu Różycki pominął wielu Galicjan: świadczy to, jak obrębne i odosobnione życie prowadzą obie dzielnice kraju. Byłoby wielce do życzenia, aby stan taki się skończył.

Z. Kwieciński.

Karol Notz.

SOŁOTWINA

(C. d.)

Ten Benoe miał towarzysza, z którym był wysłany do Turcji, po powrocie dał mu na jego życzenie probostwo w Sołotwinie i tak został ks. Kolendowski, Jezuita, pierwszym proboszczem w r. 1747 i pozostawał do r. 1763.

Drugim był ks. Maciej Wójcicki od r. 1763 do 1775, trzecim Antoni Lipowski, zakonnik, od r. 1776 do 1783. Przez trzy następne lata tj. do r. 1786 zawiadywali parafją OO. Dominikanie z Bohorodczan, dopiero dnia 17. marca 1786, objął parafję ks. Józef Onufry de Grądski Wronczewski i od tego czasu bez przerwy zawiadują nią proboszczowie.

Z ważniejszych zdarzeń kościoła, a także i miasteczka podnieść należy wizytacje arcybiskupów. I tak w lipcu 1754 wizytował kościół arcybiskup Jezierski; w październiku 1775 ks. arcybiskup Sierakowski, we wrześniu 1816 ks. Andrzej Alojzy Skarbek-Ankwicz. W r. 1817 przejeżdżał przez Sołotwinę cesarz Franciszek I.; także i w r. 1823 wraz z arcyksięciem Franciszkiem Karolem.

Mówiąc o kościele, nie możemy pominąć i dzwonnicy. Nie taka ona stara, ale za to dzwon pamiątkowy, to ze Skitu a na nim r. 1625. Gdy się odezwie, to miłe, dźwięczne tony płyną daleko w powietrze i załamując dziwnie, odbijają się od wyniosłych obocznych gór.

Nie można wreszcie pominąć i innych rzeczy kościelnych, jak relikwje, których jest dwie. W jednej jest duży żelazny gwóźdź, w drugiej z masy sporządzona ręka. Znajdują się razem, oprawne w ramy i szkło, na tylnej zaś stronie dokument po niemiecku. Oryginalnym jest też całun kamlotowy, czarny, mały, z krzyżem wielkim na środku, z płótna sinego w kwiaty przez dymkarzy wybijanego, tudzież trupia głowa pod krzyżem na dole z białego sukna przyszyta, obtoczony zaś jest cały fręzlą z nici białych i sinych. Pochodzi też ze Skitu w Maniawie.

Z cerkwi są dziś tylko dwie. Jedna, główna, obecnie rozszerzona, przebudowana, pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Panny Marji, wznosi się we wschodniej części miasteczka, na miejscu, gdzie już przedtem stało kilka cerkwi; niektóre z nich bądź się spaliły, bądź zostały rozebrane.

Po raz pierwszy miała tu być postawiona cerkiew w r. 1600. Zniszczona wskutek napadu Tatarów w r. 1676, i na nowo odbudowana, stała do r. 1775 mała cerkiewka, w którym to roku rozebrano ją i postawiono kosztem gminy z miękkiego drzewa, nieco większą. Ta okazała się jednak za szczupłą, więc rozszerzono ją w roku 1840., a przy tem nadała Stolica Apostolska zupełny odpust w r. 1831. na dzień Św. Onufrego.

Przy cerkwi stara dzwonnica, na niej wielki dzwon z bardzo pięknym głosem, ważący bez serca i osady 12 cetnarów, kupiony w r. 1833, zaś inne dzwony są starsze.

Druga cerkiew, tak zwana średnia, pod wezwaniem św. Mikołaja, stoi na dawnym cmentarzu, dziś nieporosłym, czystym placu, w ogrodzie parafjalnym.

Już sam wygląd cerkiewki niewielkiej, pochylonej, zupełnie prymitywnej budowy, omszonej, dziwne robi wrażenie na zatrzymującem się na niej oku widza.

Nie wiele już takich pamiątek w naszym kraju, to też tem większe dla nich poszanowanie tem większa pieczołowitość o nie powinna być naszym obowiązkiem.

Zbliżywszy się do drzwi wchodowych, widzimy nad niemi wyrznięty w drzewie napis cerkiewnemi literami:

„Sozdasia chram sej nakładom i kosztom Hospodyna Otca Joana Derewianki, namistnyka Sołotwińskoho. Majster Ftoma Hrynorewycz. Roku Bożyja 1700. 23. Maja“.

Postawiona kosztem gminy z miękkiego drzewa, odnowiona w r. 1827. o tyle tylko, że wewnątrz nieco oczyszczona, zaś na zewnątrz gontami pobita, zawiera w środku wiele ciekawych rzeczy.

Na ścianach wiszą dwa stare ikonostasy, jeden z nich, mogący mieć około 250 lat, oryginalny. Obrazy są tu na desce malowane, koszulki farbą pociągane.

Z obrazu św. Mikołaja, na płótnie malowanego, dziś zaledwie tylko rysy poznać można, zaś na t. z. wrotach są ładne wizerunki Świętych w postaci mnichów zakonu Bazylego Wielkiego.

Także t. z. namiestne obrazy, co do malowidła bardzo piękne wykazują wielkie podobieństwo do obrazów skitowskich. Z innych rzeczy warto zobaczyć czaszę drewnianą, dawniej używaną i cyborjum także drewniane.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Krzywicki Ludwik. *Stowarzyszenia spożywcze.* Ustęp z dziejów korporacji. Warszawa 1903 r. Z pośród różnych form kooperacji stowarzyszenia spożywcze rozwinęły się najlepiej i dziś już odgrywają w Europie zachodniej bardzo poważną rolę nie tylko w życiu ekonomicznem, ale i politycznem, pomagając nieraz klasie robotniczej w chwilach wielkich bezroboci, wywołanych chęcią zdobycia ustępstw politycznych w postaci reform wyborczych.

Stowarzyszenia spożywcze rozwinęły się najlepiej w Anglji. Epoką w tym względzie było powstanie stowarzyszenia w Rochdale w r. 1843. Dziś jest to potężna instytucja, mająca liczne sklepy i filje, posiadająca wspaniały gmach dla zebrań, zabaw i rozrywek naukowych członków. W stowarzyszeniu odbywają się stałe odczyty; oprócz biblioteki posiada ono różne instrumenty do badań naukowych, jak: teleskop, mikroskop, baterje elektryczne i t. p.

Stowarzyszenie w Rochdale dało początek całemu szeregowi analogicznych instytucji nie tylko w Anglji, lecz i na kontynencie. Wytworzył się t. zw. system rochdalski stowarzyszeń spożywczych. Polega on na tem, że z zysków część tylko odtrąca się, jako dywidendę od udziałów, znacznie większa zaś tworzy dywidendę od zakupów; o ile ktoś więcej kupuje towarów, o tyle w końcu roku otrzymuje więcej zysku. Reszta zysku przeznacza się na cele kulturalne. — Oprócz stowarzyszeń systemu rochdalskiego są i inne, których organizacja przedstawia dużą analogję ze spółkami akcyjnemi.

Zauważono, że stowarzyszenia spożywcze rozwijają się najlepiej w centrach wielkiego przemysłu, a nie w wielkich stolicach i miastach handlowych.

Największem stowarzyszeniem spożywczem w Europie jest wrocławskie, liczące 85.000 członków. Akcja jego jednak i wpływ nie odpowiadają rozmiarom. Członkowie składają się z bardzo różnorodnych żywiołów: oprócz licznych robotników są tam i kupcy, którzy nie chcą, aby stowarzyszenie rozszerzało zakres swej działalności, podrywając w ten sposób ich interesy.

Wogóle stowarzyszenia niemieckie nie są tak czynne, nie prowadzą tak rozległej i wszechstronnej akcji, jak angielskie, nie mają też ich wielkiego kulturalnego znaczenia. Wyróżniają się z pośród nich tylko stowarzyszenia w Hamburgu, gdzie wpływy angielskie oddziaływują silniej. Natomiast w Belgji stowarzyszenia spożywcze rozwijają się świetnie i posiadają ogromną społeczną doniosłość. Były one wzorowane na angielskich, w ostatnich czasach przewyższyły je nawet zakresem swej działalności i doniosłością społeczną, nie posiadając mimo to ich środków materjalnych. Dość powiedzieć, że stowarzyszenie spożywcze w Gandawji wypłaca emerytury tym wszystkich, co mają lat 60 i od lat 20 kupują towary w stowarzyszeniu na sumę przynajmniej 150 fr. rocznie. Wysokość emerytury bywa różną, najmniejsza wynosi 120 fr. rocznie. Belgijskie stowarzyszenia spożywcze robią także bardzo wiele dla oświaty.

We Francji stowarzyszenia spożywcze rozwijają się słabo; natomiast w Szwajcarji i w Danji stan ich jest bardzo dobry.

Stowarzyszenia spożywcze, jak wogóle kooperatywy, nie mogąc rozwiązać kwestji społecznej, są jednak pożytecznemi instytucjami, przynoszącemi dziś już realne korzyści, oprócz tego dla klasy robotniczej i dla włościan mają one doniosłe kształcące znaczenie.

Książka p. Krzywickiego powinna rozbudzić u nas inicjatywę do zakładania stowarzyszeń spożywczych.

K.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.